

WIT
SZOSTAK
WRÓŻENIE Z WNĘTRZNOŚCI

WIT
SZOSTAK
WRÓŻENIE Z WNĘTRZNOŚCI

KONTRAPUNKTY



powergraph

Warszawa 2015

Copyright © 2015 by Wit Szostak
Copyright © 2015 by Powergraph
Copyright © 2015 for the cover photo by Wit Szostak
Copyright © 2015 for the cover by Rafał Kosik
Wszelkie prawa zastrzeżone.
All rights reserved.

Redaktor prowadząca serii: Kasia Sienkiewicz-Kosik
Redakcja: Michał Cetnarowski
Korekta: Maria Aleksandrow
Skład i łamanie: Powergraph
Zdjęcie na I okładce: Wit Szostak
Zdjęcie na IV okładce: Elżbieta Kot
Projekt graficzny serii i opracowanie: Rafał Kosik

Wyłączny dystrybutor:

Firma Księgarska Olesiejuk Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością Spółka jawna

ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki

tel./fax: 22 721 30 00

www.olesiejuk.pl



Wydawca:

Powergraph Sp. z o.o.

ul. Ceglowska 16/2, 01-803 Warszawa

tel./fax: 22 834 18 25

powergraph.pl

sklep.powergraph.pl

e-mail: powergraph@powergraph.pl

Druk: Białostockie Zakłady Graficzne SA

ISBN 978-83-64384-43-1

Printed in Poland, EU

*Dla Łucji i Kosmy,
którzy nie znają jeszcze żadnych opowieści*

Itaka dała ci piękną podróż.
Bez Itaki nie wyruszyłbyś w drogę.
Niczego więcej już ci dać nie może.

Konstandinos Kawafis, fragment wiersza *Itaka*,
tłum. Zygmunt Kubiak

Pierwsze

Jestem głupim bratem mojego mądrego brata, on ma wszystko, a ja nic i tak jest dobrze. On ma piękną żonę, dom ma, dzieci ma i pieniądze, on ma przyjaciół i powodzenie, jest inteligentny i wszyscy go lubią, zna się na wszystkim i nie ma w tym przesady, a ja nie mam nic. On jest dobry, pozwala mi mieszkać na poddaszu, nic nie płacę, bo i tak nie mam z czego, dobrze mi tutaj, opiekują się mną on i jego żona, dobry brat Mateusz i dobra bratowa Marta, Mateusz i Marta, a ja mam na imię Błażej.

Zawsze tak było, zawsze ktoś się mną opiekował, a ja potrzebuję opieki i bez opieki już nie potrafię, potrzebuję troski i odkąd zmarła mama, to mieszkam z Martą i Mateuszem, dobrze mi i jestem najszczęśliwszy na świecie. Nie mam nic, mam tylko opiekę, mam ich, ale oni nie są moi, oni nie należą do nikogo, więc nawet ich nie mam,

tylko jestem przy nich, a oni pozwalają mi być i nie wiedzą chyba, że mnie jest lepiej w życiu niż im, bo nie muszę wybierać. Wybierano za mnie, odkąd okazało się, że nie nadaję się do wybierania. Żyję wolny poza wolnością, bo wolność to przymus, bo trzeba być wolnym, jak się żyje, a ja żyję i nie muszę być wolny, sobie jestem, głupi brat, na poddaszu brata mądrego. Wolność to wychodzenie na zewnątrz, to zaznaczanie siebie na zewnątrz siebie, gdzieś w świecie. A ja nie muszę siebie zaznaczać, mnie dobrze we własnym wnętrzu, niech inni męczą się na zewnątrz. Ja patrzę. Takie życie, dziwne życie, ale czyje nie jest dziwne.

Siedzą teraz na tarasie, słońce zachodzi, a oni nie patrzą na słońce i na siebie nie patrzą i nie rozmawiają ze sobą, bo od dawna nie rozmawiają, bo nie mają o czym rozmawiać, więc siedzą, tak zastygli, jakby już nie żyli, bo nie żyją naprawdę, nie żyją od miesięcy, od lat, tylko siedzą na tarasie i piją wino, starożytni bogowie, mój brat i jego żona.

Taras jest peronem, bo oni mieszkają na dworcu, a ja mieszkam na poddaszu dworca, na peronie stoją kwiaty w wielkich donicach, pomiędzy betonowymi płytami rośnie trawa i nikt nie broni jej rosnąć, więc jest coraz większa i łaskocze w stopy, bo ja chodzę boso po peronie, więc łaskocze, ale teraz siedzę na poddaszu i patrzę na peron, na Mateusza i Martę, a słońce zachodzi za góry, bo wokoło

są góry. Nikt nie mieszka na dworcu, bo na dworcu się nie mieszka, bo na dworcu mieszkają bezdomni, którzy nie mieszkają, bo są bezdomni, więc tylko śpią, ale my mieszkamy, bo mój mądry brat kupił stary dworzec i zakazał pociągom tu przyjeżdżać, więc przyjeżdżamy tu samochodem albo przychodzimy przez góry od sąsiedniej wsi, taki nasz dworzec, to znaczy dworzec Mateusza i Marty, bo nie mój, bo ja nie mam nic, nic nie jest moje, więc dworca też nie mam. Ich dworzec, ich peron, przed nimi zarosnięte tory, wielki ogród Marty i stary wagon na bocznicę, gdzie teraz jest szklarnia i pachnie pomidorami. Lubię zapach pomidorów, bo przypominają mi dzieciństwo, bo wszystko przypomina mi dzieciństwo, bo wszystko było w dzieciństwie po raz pierwszy i teraz tylko powraca albo nie powraca: pomidory powracają i miód słodki, i racuchy, i placki ziemniaczane, ale nie tylko rzeczy do jedzenia powracają, bo powracają rzeczy do czytania, rzeczy do spania i rzeczy do noszenia. A ja miałem dobre dzieciństwo, wszyscy mnie kochali, a potem stałem się głupi i wymagałem opieki, i dalej mnie kochali, jak w dzieciństwie. Dlatego teraz żyję dalej tym dzieciństwem, a wszystko powraca. Albo nie powraca, bo mama nie powraca i nie powracają zabawki, bo zabawki leżą w pudle w piwnicy i są stare i zmęczone. Kiedyś je zaprosiłem, żeby mnie odwiedziły, i przyniosłem do siebie na poddasze, ale to nie były już te zabawki. Nie potrafiły się bawić ze mną i ja też nie wiedziałem, jak się z nimi bawić. Takie chore,

stare zabawki, a miś trochę łysy. Więc położyłem je spać i zaniósłem do piwnicy, niech śpią, i wiem, że śpią, bo nie wszystko wraca, bo mama nie wraca, bo zabawki nie wracają. Tylko pomidory wracają, bo rosną w wagonie na bocznicę, są zielone i czerwone i lubię, kiedy Marta robi z nich zupę.

A kiedyś to zasnąłem w tym zapachu, w wagonie, bo od pomidorów to się czasem kręci w głowie, i wszyscy mnie szukali, ale przecież nie wiedziałem, że szukają, bo spałem, a potem było mi smutno, że wszystkich zmarawiłem, bo Mateusz mi powiedział, że bali się, że poszedłem w las i umarłem. A ja bym nigdy nie poszedł w las umrzeć, bo dlaczego chodzić z tym do lasu? Jak będę chciał umrzeć, to się położę w swoim łóżku i wszystkim powiem, że umieram, i sobie umrę. Tylko najpierw poproszę, żeby mi przynieśli zupę pomidorową, bo ja bardzo lubię jeść zupę pomidorową. I śmierci się nie boję, ale śmierci bez zupy to już tak.

Tak się o mnie troszcza, tak się martwili, że umarłem, że chodzili z latarkami po lesie i wołali, Błażej, Błażej, a ja nie słyszałem, bo spałem w wagonie, i było mi przykro potem, że tak szukali. Marta mi powiedziała, że wołali, Błażej, Błażej, bo ja przecież spałem, kiedy wołali. Jestem im wdzięczny i staram się pomagać, jak tylko umiem. Ale co ja mogę pomóc, nic nie mogę, nie można dać niczego tym, co mają wszystko. A już na pewno nie może dać czegoś ten, co nic nie ma. Ale pomagam.

Na krawężniku, który kończy peron i zaczyna ogród i jest pomalowany na biało, choć farba jest już stara i tylko ja wiem, że była biała, układam na przykład małe kamyczki, na przemian ciemne i jasne. To jedna z niewielu rzeczy, jakie robię na zewnątrz siebie. Kiedy bardzo nudzę się ze sobą, układam kamyczki, bez celu. Marta i Mateusz przypatrują się z zaciekawieniem i próbują odgadnąć, jaki jest w tym sens. Nazywają te kamyczki zagrodą i myślą, że ma ona dla mnie znaczenie. Kiedy jakiś kamyczek spadnie albo się przesunie, poprawiają, żeby nie było mi przykro. Napraw zagrodę Błażeja, mówią. Ale ta zagroda nie jest moja, bo przecież wszystkie kamyczki należą do dworca, a dworzec należy do Mateusza i Marty, więc ja tylko przedstawiam to, co jest ich. I pilnuję się, żeby nie wnosić poza dworzec tego, co należy do dworca, ani też nie wnosić do dworca tego, co pochodzi spoza. Chyba że są to zakupy albo jeżyny, co rosną w lesie po drugiej stronie torów, których już nie ma.

Z tym układaniem kamyczków to też nie jest żadna pomoc, ułożyłem je tak jednego dnia, sam nie wiem do dziś czemu. I Marta powiedziała do Mateusza, że pewnie Błażej ułożył, a Mateusz do Marty, że pewnie dlatego, by nikt nie spadł. Ucieszyłem się, że to moje układanie ma dla kogoś sens, bo dla mnie nie miało, ale skoro ktoś sens widzi, to ja też mogę zobaczyć. Ale taka pomoc chyba się nie liczy, bo przecież układałem bez sensu.

Torów nie ma, są pod spodem ukryte, mają teraz swoje życie podziemne, zakryte ziemią i inspektami, w których Marta trzyma zioła i warzywa. Torów nie ma, pogrzebaliśmy je pod ogrodem Marty, ale jest szlaban i przejazd kolejowy, choć kolej już nie przejeżdża. Kiedy świeci słońce, to siadam przy szlabanie i siedzę. Mateusz mówi, że Błazej pilnuje przejazdu. Ale ja nie pilnuję, więc i tu nie pomagam. Czasem drogą przejeżdżają samochody. Gdybym mówił, tobym powiedział, że mogą jechać, bo nie ma w rozkładzie żadnych pociągów. I one by słuchały i przejeżdżały, a ja byłbym dróżnikiem. Tak mi powiedział Mateusz. I nawet znalazł czapkę w pokoiku, gdzie kiedyś mieszkał naczelnik stacji. Podobno był to bardzo stary i bardzo dobry pan, który całymi dniami siedział na krześle na peronie, pykał fajkę i liczył chmury. Od liczenia chmur się mądrzeje i ja też siadam na krześle, w czapce starego naczelnika, który pewnie umarł dawno temu, bo był stary już w opowieściach mojego brata, a opowieści są z dawnych czasów, bo każda opowieść jest z dawnych czasów, więc już na pewno nie żyje, a ja tak jak on liczę chmury i czasem wieczorem czuję się mądry. Tylko że od liczenia chmur starcza mądrości na piętnaście minut, nie więcej, a czasem na krócej, zwłaszcza kiedy Marta zawoła na kolację i ta mądrość wtedy gdzieś się gubi, ucieka ode mnie i nie wraca.

Ale nie pomagam nie tylko dlatego, że nie mówię, ale też dlatego, że te samochody nie jeżdżą, dokąd by miały jeździć, skoro nasz dworzec jest na końcu torów i na końcu doliny, i na końcu świata? Jest przejazd, ale przejeżdżających nie ma. To Mateusz je dla mnie wymyśla, bo pewnie uważa, że ich potrzebuję. Że jak człowiek ma dużo czasu, to sobie wymyśla różne zabawy i gry, i dzięki tym grom czas się oswaja i porządkuje, można jakoś z nich żyć, można dzięki nim negocjować z czasem. I ja udaję, że przepuszczam te samochody, co ich nie ma, że otwieram i zamykam szlaban, i Mateusz z Martą myśla, że pomagam. A ja tylko negocjuję z czasem kolejne chwile, niektóre pełne, a niektóre puste, bo tak przecież z czasem jest. I tak to jest z tym moim pomaganiem. Bo przecież ja nie mogę pomagać, choć bardzo chcę jakoś odwdziżyć się dobrej Marcie i dobremu Mateuszowi. Ale żeby pomagać, to trzeba wybierać, a ja nie wybieram, i trzeba być trochę na zewnątrz, choć na krok być poza sobą, a ja jestem cały w swoim wnętrzu i nie znam drogi na zewnątrz. Nawet mówić nie mogę, bo mowa jakoś łączy wnętrze z zewnątrz, a ja potrafię tylko do siebie, więc mowa krąży po moim wnętrzu, ale go nie opuszcza.

A stary pan naczelnik uratował kiedyś Mateuszowi życie, tak Mateusz mówi, kiedy Mateusz był młody i chodził po górach. I była zima, był śnieg i Mateusz był sam, taki zupełnie sam w tych górach, i już miał umrzeć od tej samotności, bo zszedł na stację i dalej był sam, ale wtedy

znalazł go pan naczelnik i zrobił mu ciepłej herbaty i dał mu koc, a potem podzielił się swoim obiadem, i tak Mateusz przeżył. A wiele lat później stary pan naczelnik umarł, bo był jeszcze starszy, i Mateuszowi było smutno, bo się z nim zaprzyjaźnił i przyjeżdżał kilka razy do roku na tę stację i rozmawiał ze starym panem naczelnikiem, bo obaj byli mądrzy i mieli o czym rozmawiać. A potem Mateusz został bogatym człowiekiem i kupił ten dworzec, tę niewielką stacyjkę w górskiej dolinie, bo powiedział, że kolej zabija zapomniane stacje, a on nie pozwoli, żeby zabić miejsce, gdzie on odnalazł życie. I kiedy zamknęli tę linię, bo okazało się, że wszyscy ludzie, którzy nią jeździli, umarli albo przeprowadzili się do miasta, to Mateusz kupił dworzec i teraz on jest naczelnikiem. I nie wiem, czy to on jest naczelnikiem, czy ja, ale chyba on, bo przecież do niego należy ta stacja, a do mnie nawet ja sam nie należę, bo jestem zupełnie bezpański.

Tak mówi Mateusz do mnie i do swoich dzieci, ale przecież ja znam Mateusza z czasów, kiedy on nie miał dzieci, a ja nie byłem jeszcze głupi, i wiem, że Mateusz nie chodził po górach, bo Mateusz nie jest człowiekiem wysokogórskim, tylko człowiekiem śródziemnomorskim. Ale jego dzieci nie wiedzą i słuchają opowieści o ziemie i o starym panu naczelniku, a ja słucham i patrzę na Mateusza, bo wiem, że nie było zimy, że naczelnik pewnie był, ale że wszystko wydarzyło się inaczej.

Mateusz i Marta wyremontowali dworzec i w nim zamieszkali i tak żyją poza światem, ale Marta chętnie przyjmuje gości, choć niewiele osób tu przyjeżdża. Jest kilka pokoi na piętrze, gdzie mieszkają goście, i nikt tam wtedy nie wchodzi, kiedy mieszkają, a wszyscy spotykamy się w poczekalni, gdzie jest salon i jadalnia, i kuchnia, i wszystko jest, co wspólne. Wielka stara poczekalnia, w której rosną starożytne palmy w wielkich donicach, jeszcze z czasów kolei, sięgają po sufit, którego nie widać, bo w poczekalni jest ciemno. Na podłodze leżą kolorowe dywany i są fotele, każdy z innego kompletu. Można się zgubić w tej poczekalni, ale każdy może się zgubić po swojemu. Jedni gubią się na fotelach i czytają książki, potem chodzą tacy zagubieni i patrzą dziwnym wzrokiem, nie wierząc, że się odnaleźli. Inni gubią się w rozmowach, przy długim stole, nad nimi rosną palmy. A z poczekalni można wyjść na peron, gdzie stoją ławeczki i kwietniki i gdzie latem kobiety opalają się nago, bo nikt nie patrzy. Gdyby jeździły pociągi, toby się nie opalały, bo nikt się nie opala na peronie, ale tutaj wolno, bo dookoła są tylko góry i sami swoi.

Siedzą na peronie, Mateusz z Martą, i nie patrzą na słońce. Kiedyś rozmawiali, a teraz rozmawiają tylko wtedy, kiedy mają gości. Potem, kiedy poza nimi na

dworcu nikogo nie ma, milczą do siebie całymi dniami. Dalej się lubią i kochają pewnie, więc milczą uprzejmie, miło milczą, mijając się w poczekalni albo na schodach. Ale nie mają o czym rozmawiać, bo za dużo rozmawiali na początku swojej miłości. Wtedy siedzieli nocami i szeptali sobie różne rzeczy, opowiadali sobie historie prawdziwe i zmyślane, opowiadali sobie i swoje miłości, i swoje zainteresowania, i pasje, opowiadali sobie muzykę i literaturę, sztukę sobie opowiadali i dzieciństwo. A teraz już wszystko zostało opowiedziane i nie ma słów pomiędzy nimi, bo nie ma już w nich świata poza ich wspólnym światem, a po co mówić o tym, o czym się wie? Inni ludzie, którzy nas odwiedzają, mówią za dużo i niepotrzebnie, mówią o tym, że słońce wschodzi i zachodzi, i opowiadają o tym Marcie i Mateuszowi, a przecież oni wiedzą, oni wiedzą wszystko.

Nie trzeba mówić, kiedy jest wszystko powiedziane, bo słowa są ważne i trzeba ich używać rozsądnie. Mateusz powiedział mi kiedyś, że słowa zużywają się i kiedy zbyt często mówimy, to może ich zabraknąć na rzeczy naprawdę ważne. A u nas nie dzieją się rzeczy naprawdę ważne, więc Mateusz i Marta zachowują słowa na właściwy czas. Ale są pomiędzy nimi sprawy, na które nie mają jeszcze słów i szukają ich cały czas. Ta rozmowa jest ciągle przed nimi i milczą o tym inaczej, niż milczą o zachodach i wschodach słońca. Zużyte słowa nie pasują, a nieużytych nie ma. Więc Marta i Mateusz czekają na